

Jaka miłość chroni człowieka?

Siebie i innych chroni ten, kto naśladuje miłość Jezusa i żadną inną!

Nie wystarczy stwierdzić, że chrześcijaństwo to religia miłości i że chrześcijanin powołany jest do tego, by kochać. To byłby jedynie wzruszający slogan, gdybyśmy zatrzymali się na tego typu ogólnikowych stwierdzeniach. Kto z pomocą Boga chce naprawdę chronić siebie i innych ludzi – skutecznie i w każdej sytuacji – ten musi precyzyjnie wiedzieć, co to znaczy kochać. Jezus zaprasza nas do tego, byśmy kochali tak, jak On i w żaden inny sposób! A w jaki sposób kocha Jezus?

Po pierwsze, miłość Jezusa jest **nieodwołalna**. On nigdy nas nie szantażuje, że jeśli nie będziemy wobec Niego w porządku, to On przestanie nas kochać. Kto naśladuje Jezusa, ten wie, że czasem trzeba osobę kochaną upomnieć, a nawet przed nią się stanowczo bronić. Jednak nigdy i nikogo nie wolno szantażować wycofaniem miłości. Czasem mogę być zmuszony do tego, by kochać kogoś – przynajmniej w pewnym okresie – na odległość, ale także wtedy miłości nie wycofam. Miłość jest albo nieodwołalna, albo jest jedynie romantyczną fikcją. Jezus uczy mnie miłości, która jest silniejsza niż śmierć. Tak, jak pewna jest śmierć w doczesności, tak pewna jest miłość w całej wieczności.

Po drugie, miłość Jezusa jest **nieustanna**. Miłość nie odpoczywa, nie robi przerw, nie ma dnia wolnego. Ten, kto kocha na podobieństwo Jezusa, nieustannie okazuje to osobie kochanej – gestem, spojrzeniem, słowem, SMS-em, listem i na tysiące innych sposobów. Nie da się miłości okazać na zapas! Im bardziej kocham drugą osobę, tym bardziej potrzebuje ona nowych

znaków miłości, tym bardziej cieszy się tymi znakami i tym bardziej cierpi, jeśli przestaje doświadczać tego, że kocham nieustannie. Potwierdzenie miłości zawsze i w każdej sytuacji jest szczególnie ważne w odniesieniu do dzieci i nastolatków, a także w odniesieniu do dorosłych wtedy, gdy do ich serca wkradają się niepokoje, wątpliwości czy rozterki.

Po trzecie, miłość Jezusa jest **mądra**. Jeśli kocham tak, jak tego On mnie uczy, wtedy nie rozpieszczam tej drugiej osoby, nie toleruję jej błędów, ale mobilizuję do nieustannego rozwoju. Kochać mądrze to wyrażać miłość w taki sposób, by ta druga osoba też uczyła się kochać. I to nawet bardziej niż ja potrafię kochać! Jeśli kocham, to cieszę się, gdy kochana osoba kocha bardziej i dojrzalej niż ja, gdyż wtedy mogę być tym bardziej spokojny o jej teraźniejszość i przyszłość. Najprostszym sprawdzianem, że kocham mądrze, jest to, że trafnie dobieram słowa i czyny miłości do sytuacji i zachowania tej konkretnej osoby. Mądra miłość kieruje się zasadą: to, czy kocham ciebie, zależy ode mnie, ale to, w jaki sposób okazuję ci miłość, zależy od ciebie, od twojej postawy życiowej i od twoich zachowań tu i teraz. Jeśli kocham kogoś tak jak Jezus, to czasami muszę pomóc kochanej osobie, by połamała – czyli przezwyciężyła – w sobie to, co przeszkadza kochać. Czasem jest to egoizm, ale czasem naiwna skłonność do „poświęcania się” innym ludziom.

Po czwarte, miłość Jezusa **umacnia**. Ewangelia w wielu miejscach mówi o tym, że z Jezusa wypływała moc, która zachwycała, a czasem nawet przerażała ludzi, którzy byli blisko Niego. To była moc prawdy i miłości,

czyli moc prawdziwej miłości. Jeśli naśladować miłość Jezusa, to kochana przeze mnie osoba staje się mocarzem i potrafi poradzić sobie z każdą sytuacją życiową. Prawdziwa miłość dosłownie uskrzydla, staje się źródłem trwałej radości, dodaje odwagi, mobilizuje, wnosi w nasze życie entuzjazm i pomaga wypływać na głębie człowieczeństwa. Miłość Jezusa wiąże się z taką mocą, że człowiek, który jej doświadcza, zdobywa największą władzę we wszechświecie: władzę nad samym sobą, nad swoim ciałem, nad emocjami, nad całym swoim człowieczeństwem.

Jak uczyć się takiej miłości? Gdzie szukać konkretnych, szczegółowych zasad i wskazań w tym względzie? Chyba najłatwiej zrozumieć zasady Jezusowej miłości w oparciu o analizę przypowieści o synu marnotrawnym i o mądrze kochającym ojcu. Ta przypowieść to genialny wykład na temat miłości w każdej sytuacji. To najwspanialsza w historii ludzkości lekcja na temat miłości nieodwołalnej, nieustannej, mądrej i dającej siły do nawrócenia. Żaden profesor na żadnej uczelni nie wygłosił nigdy tak precyzyjnego i jasnego wykładu na temat miłości, jak uczynił to Jezus w swojej przypowieści. Wszystkie książki świata na temat miłości nie zawierają niczego, czego nie byłoby w tej przypowieści. Takiej zwięzłej i nieomyłnej lekcji miłości mógł udzielić nam jedynie Bóg. I Bóg to uczynił dwa tysiące lat temu. Spróbujmy odczytać zasady miłości, jakie Jezus zawarł w swojej przypowieści.

Punkt wyjścia tej historii jest bardzo radosny. Oto jest ojciec – symbol samego Boga, czyli kogoś, kto jest miłością – ma dwóch synów. Ci synowie są niezwykle szczęśliwymi, gdyż mają najwspanialszego tatę we wszechświecie. Są też dobrze sytuowani materialnie, gdyż ich tata jest człowiekiem zamożnym, właścicielem dużej posiadłości. To wręcz fantastyczny punkt

wyjścia. To przypomnienie, że wszystko, co Bóg stworzył, było bardzo dobre. To przypowieść o szczęśliwej rodzinie jakby jeszcze sprzed grzechu pierworodnego. To przypowieść o tym, jak dobrze jest człowiekowi z Bogiem, jeśli tylko trwa w miłości, którą Bóg go obdarza. Ojciec z przypowieści Jezusa kocha nieodwołalnie i serdecznie, wychowuje mądrze swoich synów, uczy ich solidnej pracy i pomaga doświadczyć radości istnienia. Tak jest punkt wyjścia tej przypowieści. Można powiedzieć: sielanka rodem z rajskiego ogrodu.

Nadchodzi jednak moment, w którym pojawiają się czarne chmury. Oto któregoś dnia młodszy syn oznajmia ojcu, że chce zabrać przypadającą na niego część majątku i odejść. Czyż postawa tego syna nie jest typową postawą młodego człowieka ponowoczesności – młodego człowieka XXI wieku? Czyż nie jest to postawa kogoś »nowoczesnego« i »postępowego«? Nigdy dosyć przypominania, że za nowoczesnych i postępowych uchodzą dzisiaj ci, którzy powtarzają najbardziej archaiczne i najbardziej naiwne mity świata. Są to te same mity, którym ulegli pierwsi ludzie na samym początku historii ludzkości. To mity powtarzane od Adama i Ewy. To zwłaszcza mit o tym, że istnieje łatwo osiągalne szczęście; że można żyć na luzie i robić, co się chce; że można samemu odróżnić dobro od zła i być wręcz jak Bóg. Oto najstarsze, najbardziej prymitywne i najgroźniejsze mity świata. Ten, kto powtarza te mity – i to nie tylko w mediach, ale nawet na wyższych uczelniach – uważany jest dziś za nowoczesnego i postępowego.

Ów młodszy syn z przypowieści Jezusa to typowy człowiek XXI wieku. Jest bezmyślny, naiwny, wręcz głupi, jednak w swojej naiwności uznaje samego siebie za mądrego i postępowego. Uważa siebie za mądrzejszego od ojca, który przez całe dzieciństwo i młodość uczył swoich synów kochać

i pracować. Opuszcza ojca po to, by szukać łatwego szczęścia, a zatem szczęścia osiągniętego bez wysiłku, bez pracy w polu, bez trwania w miłości. Szuka łatwych pieniędzy i kieruje się „dyskotekową” filozofią życia na zasadzie: wino, dziewczyny i śpiew.

Postawa tego młodzieńca chyba nikogo dzisiaj nie dziwi. Może nas natomiast zdziwić postawa ojca. Wydaje się bowiem, że pochopnie pozwala synowi odejść. I jeszcze daje mu pieniądze! Czyżby nie wiedział, że jego syn jest naiwny w swej »nowoczesności« i »postępowości«? Czyżby nie zdawał sobie sprawy z tego, że syn zejdzie na złą drogę, że roztrwoni majątek i wylądjuje w chlewie? Czyż nie powinien był powiedzieć: „Synu, nie dam ci tych pieniędzy, nawet jeśli ci się należą. A jeśli podasz mnie do sądu, to być może zanim sprawę wygrasz, zdążysz zmądrzeć”? Czyż nie mógł apelować do sumienia swojego syna czy od jego uczuć, mówiąc: „Synu, jeśli odejdiesz, to przez ciebie dostanę zawału serca. Przecież wiesz, że cię Kocham”? Ojciec powinien zrobić wszystko, aby syna zatrzymać. Tymczasem wydaje się, że nie zrobił w tym względzie niczego, jakby nie zależało mu na losie syna, albo jakby nie potrafił przewidzieć nieszczęść, które odchodzący syn ściągnie na siebie.

W rzeczywistości ojciec uczynił **wszystko**, co możliwe, aby syn nie odszedł. Ktoś może spytać: a cóż takiego uczynił ojciec, by zatrzymać syna przy sobie? Odpowiedź jest piorunująco prosta: ojciec kochał syna! Kto kocha, ten czyni wszystko, by ta druga osoba nie odeszła od Boga, od bliskich, od miłości, od własnej godności. Więcej uczynić już nie można, gdyż nie istnieje nic większego niż miłość. Nie istnieje większa siła niż moc miłości! Nie można zrobić nic więcej, niż kochać! W jaki sposób można pomóc, by ktoś nie odszedł od Boga, by nie zrezygnował z miłości, z życia w radości, w świętości, w wolności

dzieci Bożych? Tylko w jeden sposób – kochając. Nie da się uczynić nic więcej, gdyż nie ma nic większego, nic potężniejszego niż miłość. Jeśli więc ojciec z przypowieści Jezusa kochał swego syna, to zrobił absolutnie wszystko, co mógł zrobić, by jego syn był szczęśliwy, by nie odszedł, by kochał i pracował, by nie zszedł z drogi błogosławieństwa i życia. Przymuszać można do zła, ale do dobra można jedynie zachęcać. Dobrem można jedynie fascynować – kochając.

Chyba nikt nie ma wątpliwości co do tego, że nie można chronić drugiego człowieka inaczej niż poprzez miłość. Może jednak pojawić się kolejne pytanie: A skąd wiadomo, że ów ojciec rzeczywiście kochał swego syna? Może ta jego miłość nie była jednak dojrzała? A może ojciec bardziej kochał starszego syna i dlatego ten młodszy postanowił odejść? Otóż z całą pewnością możemy stwierdzić, że ojciec nieodwołalnie i mądrze kochał także młodszego syna. Najlepszym potwierdzeniem w tym względzie jest zachowanie syna, który postanawia odejść. Ktoś, kto chce odejść od Boga, od najbliższych, od miłości, od uczciwości – szuka pretekstu. Nikomu nie jest łatwo odejść. Nawet narkoman, alkoholik czy pospolity drań nie powie ot tak sobie: „Mamo, tato, jesteście dla mnie zerem, gardzę waszą miłością, odchodzę i w ogóle nie będę się o was martwić”. Każdy odchodzący szuka pretekstu, by jakoś „usprawiedliwić” swoje odejście.

Pewna kobieta opowiadała mi o tym, że gdy jej szesnastoletni syn odchodził z domu (a był już wtedy, jak się później okazało, narkomanem) powiedział:

– Mamo, odchodzę, bo ty mnie nie kochasz.

– Jak to cię nie Kocham, synu?! Przecież wiesz, że jesteś całym moim światem! – odpowiedziała.

– Akurat! A pamiętasz, jak przyszłaś odebrać mnie z przedszkola, gdy miałem pięć lat i upominałaś mnie

przy dwóch kolegach? Poniżyłaś mnie wtedy, nie uszanowałaś mojej godności. Ty mnie nie kochasz!

Tego typu oskarżenia syna, który jest w kryzysie i odchodzi, to oczywiście jedynie szukanie pretekstu, by odwrócić uwagę od własnych błędów i by „uspokoić” własne sumienie. Ów szesnastoletni narkoman posłużył się takim dziecinnie naiwnym pretekstem. Nie potrafił powiedzieć prawdy: „Wiem, mam, że mnie kochasz, ale ja i tak odchodzę”. Podobnie syn z przypowieści Jezusa czepiłby się choćby najmniejszego pretekstu, gdyby tylko mógł coś ojcu zarzucić. Gdyby tylko mógł, to powiedziałaby coś takiego: „Ojczy, daj mi przypadającą na mnie część majątku, bo odchodzę. Sam wiesz, że różnie to między nami bywało, bo ty nie zawsze umiałeś mnie kochać”. Ów syn dałby wiele, by móc coś takiego powiedzieć, gdyż wtedy byłoby mu lżej odejść. Jednak nie potrafił ojcu niczego zarzucić. Nie znalazł nawet najmniejszego pretekstu, by uzasadnić swoje odejście. Mógł jedynie powiedzieć: „ojczy, daj mi pieniądze, odchodzę”. Nie mógł natomiast powiedzieć: odchodzę, bo ty nie do końca mnie kochasz”. Nawet dla przeżywającego poważny kryzys syna było oczywiste, że ojciec go kocha. I co z tego? Nic. Syn zakpił sobie z miłości ojca. I odszedł.

Co czynimy wtedy, gdy ktoś z naszych bliskich, gdy kochana przez nas osoba odchodzi? W takiej sytuacji jesteśmy wystawieni na wielką próbę. Zwykle my też popadamy wtedy w kryzys. Czasem jest to jeszcze większy kryzys niż ten, w który popada człowiek, który właśnie od nas odchodzi. Nasze trudności biorą się stąd, że kierujemy się wtedy raczej uczuciami niż miłością. W konsekwencji zachowujemy się wobec odchodzącego albo naiwnie, albo okrutnie, w zależności od tego, jakie uczucia w nas zycią. U kobiet wygrywa zwykle litość, współczucie, chęć poświęcenia się

dla odchodzącej osoby. „Proszę księdza, mój syn/mąż/ojciec pobłądził, ale to dobry człowiek, tylko ta telewizja, ci koledzy, ten alkohol, te trudności... Odwiedzam go w więzieniu i ja go uratuję – choćbym miała stracić wszystkie pieniądze, przekupić jakichś urzędników, czy poświęcić własne życie”. Tego typu naiwna postawa kobiety to nadstawianie policzka za kogoś, kto błądzi. To wręcz okradanie błądzącego z naturalnych konsekwencji popełnianych przez niego błędów. W obliczu takiej postawy matki, żony czy córki, ten ktoś nadal będzie błądził – aż wejdzie w taką fazę kryzysu, że zginie. Jeśli bowiem błądzący nie ponosi konsekwencji swoich błędów, to nigdy nie przestanie błądzić. Dlaczego miałby przestać? Im bardziej pomagamy błądzącemu – gdy nadal błądzi – tym łatwiej będzie mu trwać na drodze słabości, grzechów i śmierci.

W obliczu kryzysu osoby bliskiej, w obliczu jej odejścia jedni (zwłaszcza kobiety) reagują naiwnością. Inni z kolei (szczególnie mężczyźni) reagują rozgoryczeniem lub okrucieństwem. Zdarza się, że ojciec mówi do syna tak: „Zhańbiłeś rodzinę, zmarnowałeś pieniądze – nie masz już prawa powrotu! Giń marnie, bądź wyklęty! Już cię nie kocham, a twój los już mnie nie interesuje”. Tego typu postawa rozgoryczonego i bezlitosnego ojca to także przejaw kierowania się uczuciami, zamiast miłością. Kto w trudnych sytuacjach kieruje się uczuciami, ten nie kocha, lecz krzywdzi: staje się naiwnym rozpieszczaczem albo bezlitosnym okrutnikiem. W obydwu przypadkach mamy do czynienia z jakąś formą emocjonalnej rozpacz i bezradności.

Tymczasem ojciec z przypowieści Jezusa nie popełnia tych błędów, nie kieruje się uczuciami. Kieruje się miłością i nawet w tak trudnej sytuacji kocha syna mądrze. Nie wycofuje miłości, gdyż miłość jest nieodwołalna. Ojciec nieustannie potwierdza swoją

miłość do syna, który odszedł. Codziennie wychodzi na drogę z nadzieją, że ukochany syn powróci. Wypatruje syna ze łzami w oczach. Zaniedbuje pracę w polu, gdyż ten, kto kocha, wie, że osoby są nieskończenie ważniejsze niż rzeczy i niż majątek. Ojciec wychodzi na drogę i patrząc w kierunku, w którym poszedł jego syn, wysyła mu znaki. Świat był wtedy mały; ojciec wie, że do syna dotrze wiadomość, iż on go wypatruje, że na niego czeka. Dzisiaj pewnie by mu wysyłał SMS-y czy e-maile. Wtedy wychodził na drogę i wiedział, że znajomi, którzy spotykali syna trwoniącego swą godność i swój majątek, powiedzą mu o miłości i o nadziei ojca oczekującego na powrót ukochanego syna.

Ojciec kocha syna nieodwołalnie i dlatego daje mu znaki, że go kocha. Jednocześnie kocha syna mądrze i dlatego pozwala mu, by cierpiał. Nie wymierza mu kary, ale nie przeszkadza w tym, by syn ponosił konsekwencje swojej decyzji i swoich czynów. To, co spotyka syna, to nie dopust Boży, ani zemsta ze strony ojca, lecz wyłącznie naturalny skutek błędnych decyzji i zachowań tegoż syna. W tym kontekście warto zauważyć, że my, chrześcijanie, często obarczamy Boga za cierpienia, które nie On nam zsyła! Gdy Bóg przyszedł do nas osobiście w ludzkiej naturze – Ten, który jako jedyny jest samą Miłością, całkowicie niewinny i bez grzechu – my przybijamy Go do krzyża, a później twierdzimy, że to On nam zsyła krzyże...

Tak więc ojciec nadal kocha swego marnotrawnego syna, ale kocha mądrze i tylko dlatego nie usiłuje chronić go przed konsekwencjami własnych zachowań. Nie okrada syna z tych konsekwencji. Jeśli ktoś robi wszystko, by błędzą osobą, którą kocha, nie ponosiła konsekwencji swoich własnych błędów, to wtedy człowiek ten w rzeczywistości nie kocha, lecz staje się złodziejem. Okrada bowiem

błędzącego z naturalnych konsekwencji jego błędów, a wtedy błędzący nie doświadcza konsekwencji swoich wyborów i swoich czynów. Nie ma więc powodu ani motywu, by mobilizować się do zmiany i by przezwyciężyć kryzys, w którym się znalazł.

Ojciec z przypowieści Jezusa nie jest naiwny, gdyż miłość nie ma nic wspólnego z naiwnością. Miłość to szczyt mądrości. Ojciec nadal kocha swego marnotrawnego syna, daje mu znaki, że go kocha, ale nie zawozi mu pieniędzy, jedzenia czy ubrań. Nie wysyła do syna służących z darami. Natomiast wtedy, gdy syn wraca, ojciec przyjmuje go z radością i urządza mu święto. Nie wypomina synowi tego, że skończył w chlewie jako pastuch świń, że zhańbił swoje dobre imię, że roztrwonił majątek. Chociaż ojciec należy do szlachetnego, cenionego i bogatego rodu, nie wstydzi się ani nie brzydzi synem wracającym z chlewa i wyglądającym jak nędzarz. Przyjmuje go jak kogoś godnego miłości i obdarowuje pierścieniem oraz szatami. „Tato, teraz to już jestem pewien, że mnie kochasz” – może powiedzieć syn marnotrawny. Może, bo ojciec nie przeszkadzał mu w zmierzeniu się z cierpieniem i w refleksji nad własnym zachowaniem.

Gdyby ojciec poszedł do syna wtedy, gdy syn jeszcze błdził, gdyby zawiózł mu pieniądze i ubrania, wtedy błędzący syn przyjąłby te dary z radością. Nie wróciłby jednak do ojca, lecz kontynuowałby rozrzutny i grzeszny tryb życia, ale już nie za własne pieniądze lecz za pieniądze ojca. Taka dobrotliwa „miłość” i taka naiwna pomoc dobiłaby syna. Ojciec niechcący pomógłby synowi wejść w kolejną, jeszcze bardziej dramatyczną fazę kryzysu. Tego typu błędy popełnia wielu rodziców. Kto błdzi, ten każdą pomoc wykorzystuje po to, by trwać w złu, jakie go zniewoliło. Jeśli »pomagamy« komuś, kto błdzi, to pomagamy mu... błdzić. W rzeczywistości wtedy nie pomagamy, a szkodzimy.

Jeśli naprawdę, nieodwołalnie kogoś kocham, to nie pomagam mu błędzić. To kocham i czekam, aż błędzący się zastanowi i wróci. To naśladuję postawę ojca z przypowieści.

Ktoś może powiedzieć: „Rzeczywiście ojciec kochał syna mądrze, ale może ten ojciec mógł wyjść w kierunku syna trochę dalej i wtedy syn szybciej by się zastanowił i wrócił...” Otóż Bóg wychodzi do nas aż nazbyt daleko! Kto opowiada tę przypowieść? Syn Boży, czyli Ten, który wyszedł ze swoją miłością ku nam aż tak daleko, że stał się jednym z nas i pozwolił się przybić do krzyża. Czy w tej sytuacji możemy zarzucić Bogu, że za mało dla nas uczynił i że za mało wychodzi w naszym kierunku? Bóg uczynił dla nas tak niewyobrażalnie dużo, że gdyby poszedł jeszcze krok dalej, byłaby to już naiwność. Bóg może sobie pozwolić na heroizm, ale nigdy nie pozwoli sobie na naiwność. Ten, kto kocha, nie pozwala sobie wykorzystywać do trwania w złu i do uciekania od prawdy o sobie. Kto kocha, ten nie okrada osoby kochanej z konsekwencji jej zachowań: ani z konsekwencji jej zachowań szlachetnych (czyli z sukcesów), ani z konsekwencji jej zachowań nieszlachetnych (czyli z cierpienia). Chcesz błędzić? No to trudno. Nie uciekniesz wtedy od samego siebie i będziesz cierpieć. Jednak problemem jest nie to, że cierpisz, lecz to, że błędzisz!

Ojciec z przypowieści Jezusa wie, że syn może sobie zakpić z miłości (Boga i człowieka), że może nie cenić swej własnej godności i wolności, ale z jednego sobie nie zakpi: z własnego cierpienia. Człowiek w kryzysie przestaje być wrażliwy na cierpienia innych, ale zachowuje jeszcze wrażliwość na własne cierpienie. Z własnego bólu nie kpi. Bóg to wie i dlatego nie zabiera nam cierpienia wtedy, kiedy błędzimy. Nie używa swej wszechmocy w naiwny sposób. Nie odbiera nam szansy na refleksję i nawrócenie.

Syn marnotrawny korzysta z tej szansy – z szansy, jaką otrzymał dzięki mądrej miłości ojca. Cierpienie skłoniło go ku refleksji, a pewność, że jest kochany, dała mu odwagę i siłę, by zmienić się w syna powracającego. Jeśli ktoś nie chroni siebie, życia i godności mocą miłości, której doświadcza od Boga i ludzi, to ostatnią deską ratunku pozostaje dla niego jego własne cierpienie.

Już słyszę zarzut: „No dobrze, ale ten syn mógł nie skorzystać z otrzymanej szansy. Mógł wpaść w rozpacz i odebrać sobie życie, jak Judasz”. Owszem, mógł... Jest wolny. Ale wtedy nawet Bóg byłby bezradny. Jeśli ktoś, kogo kochamy, błędzi, to pozwólmy mu ponosić konsekwencje swych decyzji i czynów. Nie przeszkadzajmy mu cierpieć. A jeśli – nie daj Boże! – umrze, zanim się zastanowi i nawróci, to będziemy mieć świadomość, że ten ktoś nie skorzystał z miłości Boga i z naszej miłości, ale myśmy nie ułatwili mu błędzenia. Dopóki ktoś błędzi, nie chce od nas miłości, lecz chce naszej naiwności, naszych pieniędzy, naszej pomocy, by trwał w kryzysie. Taki człowiek wystawia nas na największą próbę miłości. Jedyne, co powinniśmy wtedy czynić, to naśladować postawę ojca z przypowieści Jezusa, czyli nieodwołalnie kochać, mówić błędzącemu prawdę o jego błędach, potwierdzać, że nie wycofujemy miłości, modlić się z wielką ufnością i wszystko inne zawierzać Bogu, który jest najlepszym obrońcą człowieka.

Syn marnotrawny korzysta z mądrej miłości ojca, nawraca się i staje się synem powracającym. Uznaje swoje błędy i odzyskuje swoją godność. Każdy z nas, ludzi (poza Maryją), jest dzieckiem marnotrawnym, ale nie każdy powraca. Omawiana przypowieść jest więc przypowieścią nie o synu marnotrawnym, ale o synu powracającym. Nie jest to przypowieść o wszystkich ludziach, ale tylko o tych, którzy potrafią powrócić. Jednak nawet

wtedy, gdy ktoś w ziemskiej perspektywie nie powraca, możemy zachować nadzieję, że zdoła powrócić jeszcze w procesie umierania i spotkania twarzą w twarz z Bogiem, który nie chce śmierci grzesznika, lecz żeby się nawrócił i żył.

Przypowieść o powracającym synu to dla nas upewnienie, że w świecie osób nie ma procesów nieodwracalnych. Takie procesy występują jedynie w świecie rzeczy. Dla przykładu, jeśli jakiś kryształ rozsypie się na kawałki, to nie da się go już skleić i ocalić. Lecz jeśli „rozsypie się” człowiek jako osoba, jeśli zacznie błędzić i ranić samego siebie, to – z pomocą Boga – jest możliwy proces „sklejania”. „Rozsypany” i poraniony człowiek może się zastanowić, zreflektować, uznać swój błąd i się zmienić, powrócić na drogę błogosławieństwa i życia. Może zacząć kochać.

W jaki sposób możemy upewnić naszych błędzących i poranionych bliskich, że ich kochamy? Przyjmując ich z miłością wtedy, gdy postanowią powrócić. Dopóki błędzą, nie możemy udowodnić, że ich kochamy, choćbyśmy nawet oddali za nich życie. Syn marnotrawny nigdy by się nie przekonał o tym, że ojciec nadal go kocha, gdyby nie wrócił. Nawet jeśli docierały do niego informacje o tym, że ojciec ciągle go wypatruje, że wychodzi na drogę, że przestał się zajmować doglądaniem własnego majątku, to błędzący syn pewnie sądził, że ojciec robi to pod publiczkę (że niby taki dobry ojciec) albo dlatego, że ma wyrzuty sumienia czy z jeszcze innego powodu, bo gdyby rzeczywiście kochał syna, to by do niego przyszedł i mu pomógł, dałby mu pieniądze, odzież i żywność, albo wysłałby służącego (tylu ich ma) czy okazał jeszcze inny dowód miłości. Ojciec z przypowieści wie, że dopóki ktoś błędzi, dopóty nie uwierzy, że jest kochany i dopóty nie można mu pomóc.

Próba przekonania błędzącego, że nadal go kochamy, nie ma sensu. Taka próba byłaby wręcz zachętą dla błędzącego, by nami manipulował, a wtedy pogorszyłaby się, a nie poprawiła jego sytuacja. Dopóki ktoś błędzi, dopóty nie chce naszej miłości, ale naszej naiwności. Chce, żebyśmy dawali mu pieniądze, żebyśmy spłacali jego długi, żebyśmy przekupywali urzędników w jego „obronie”, żebyśmy dawali mu coraz to nową szansę, mimo że każdą poprzednią szansę zaprzepaścił. Tymczasem miłość to nie naiwność. Kto kocha, ten nie okrada błędzącego z konsekwencji błędzenia. Inicjatywa należy zatem do błędzącego – to od niego zależy, czy się zreflektuje i wróci, czy też nie. Jeśli powróci, wtedy dopiero może odkryć, że zostaje przyjęty z miłością i że nigdy nie przestał być kochany. Może to wszystko odkryć dopiero wtedy, gdy wróci.

Syn powracający ratuje siebie i upewnia się o tym, że jest kochany. Wracając, ratuje i ojca. Swym powrotem do domu urządza ojcu większe święto, niż ojciec urządził jemu. Ojciec jest bowiem bardziej wrażliwy, bardziej kocha, a przez to jego radość z powrotu syna jest większa niż radość syna z powrotu do ojca. Każdy, kto się nawraca, ratuje Boga przed cierpieniem. I urządza Mu święto. A Bóg wzrusza się wtedy głęboko i radośnie.

Ktoś powie, że taki obraz Boga to jedynie przerośnięcie, gdyż Bóg nie ma uczuć i niczego nie przeżywa emocjonalnie. Tymczasem Bóg stworzył nas na swój obraz. Jesteśmy podobni do Niego, więc skoro my potrafimy się wzruszać i cieszyć z powrotu kogoś błędzącego, kto był dotąd śmiertelnie zagrożony, to On tym bardziej się cieszy. Nawet w Starym Testamencie jest mowa o tym, że Bóg się cieszy, że się smuci, że zazdrości... Oczywiście, w języku biblijnym są to tylko analogie. Ale Nowy Testament mówi nam o tym, że Syn Boży stał się prawdziwym

człowiekiem, nie przestając być prawdziwym Bogiem. I jako prawdziwy człowiek nieraz się cieszył, wzruszał do łez, niepokoił czy nawet złościł i bał. A wisząc na krzyżu, wręcz się buntował – oczywiście na poziomie emocji, a nie postawy. Wołał do Ojca: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” (Mk 15, 34).

Bóg nie jest stoikiem. Bóg jest Miłością. Miłość nie jest uczuciem, ale nie ma miłości bez uczuć. Miłość jest zawsze gorąca. Kto kocha, ten cieszy się z cieszącymi i smuci ze smutnymi. Tego uczy nas Bóg w swoim Synu. Gdy powracamy do Boga, wtedy ratujemy siebie i radujemy tych, którzy nas kochają: naszych bliskich i samego Boga.

W analizowanej przypowieści jedyną do końca negatywną postacią jest starszy syn – ten, który oficjalnie od niego nie odszedł. Jest on negatywną postacią dlatego, że nie kocha. Niektórzy twierdzą, że ów starszy syn słusznie się buntował, gdyż dlaczego miałby dzielić się swoją częścią majątku z bratem, który własny majątek roztrwoniał. Tymczasem nigdzie nie jest napisane, że starszy syn miałby dzielić się swoją częścią majątku z powracającym bratem. Ojciec prosi go jedynie o to, żeby zechciał z nimi świętować. Młodszy syn nieuchronnie poniesie konsekwencje swoich błędów – będzie musiał zacząć od zera. Jednak prawdopodobnie szybko się dorobi, gdyż umie pracować, a teraz już wie, że *na pewno* jest kochany przez ojca, przez Boga, i że sam kocha. W konsekwencji będzie odtąd pracował z radością, a jeśli z radością, to także efektywnie. I odrobi wszystko to, co stracił. Znacznie trudniej odzyskać miłość i radość niż majątek.

Ktoś, kto kocha, poradzi sobie w życiu. Ojciec wie o tym. Właśnie dlatego nie prosi starszego syna o to, by podzielił się z młodszym swym majątkiem. Prosi go tylko o to, żeby z nimi świętował, żeby się cieszył z tego, że odzyskał brata, że jego brat nie zginął.

Ale starszy syn nie chce przyjść na to świętowanie i jeszcze robi ojcu wymówki. Można więc formalnie nie odejść, ale odejść faktycznie. Dzieje się tak wtedy, gdy ktoś nie kocha. Kto nie kocha, ten może formalnie nie odejść od Boga, Kościoła, małżonka, dzieci, a mimo to utraci radość. A ktoś, kto traci radość, zaczyna szukać czegoś, co da mu jej namiastkę: romanse, pieniądze, alkohol, władzę...

Można więc odejść, nie odchodząc. Najbardziej radykalną formą odejścia od Boga, ludzi i od szczęścia jest egoizm. Egoista odchodzi nawet od samego siebie. Zaczyna zdradzać samego siebie. Zaczyna opuszczać własne pragnienie miłości, radości, dobra, prawdy i piękna. Zaczyna umierać w tym, co w nim jest najbardziej szlachetne, wartościowe i Boże.

Czytając Ewangelię, można by wysnuć wniosek, że Jezus jest niesprawiedliwy. Odnosił się bowiem do spotykanych osób w bardzo niepodobny sposób. My, ludzie (w tym także »nowocześni« psycholodzy czy socjolodzy), chętnie podkreślamy, że nie jesteśmy rasistami, że nikogo nie dyskryminujemy, że do każdego człowieka odnosimy się jednakowo. Tymczasem poprzez swoje zachowania Jezus wyjaśnia nam, że kto odnosi się do wszystkich ludzi jednakowo, ten jest albo wyjątkowo przewrotny, albo wyjątkowo naiwny. Odnoszenie się do wszystkich w jednakowy sposób byłoby zasadne pod jednym warunkiem: gdyby każdy człowiek zachowywał się w identyczny sposób. Ponieważ jednak każdy z nas postępuje inaczej, w niepowtarzalny sposób – to ten, kto kocha mądrze, każdemu okazuje miłość w inny sposób, czyli za pomocą innych słów i czynów. Jezus kocha każdego człowieka miłością nieodwołalną, a mimo to każdemu okazuje tę miłość w inny, niepowtarzalny sposób, gdyż uwzględnia naszą niepowtarzalność i niepowtarzalne zachowanie każdego człowieka. Kochać nad życie –

tak jak Jezus – nie oznacza, że każdemu należy okazywać miłość w identyczny sposób.

Jezus uczy nas wyrażania miłości w sposób dostosowany do zachowania danej osoby. Można wymienić **pięć** typowych grup ludzi, który spotyka Jezus i którym potrafi okazywać miłość w sposób dostosowany do ich zachowań.

Pierwsza z tych grup to ludzie **szlachetni**. Jak okazuje Jezus swą miłość tego typu ludziom? Przytula ich, rozgryza, stawia za wzór, chroni, wspiera, chwali, wyróżnia, powierza im ważne zadania. Takim ludziom okazuje miłość z radością i w sposób, który na ogół traktujemy jako jedyny przejaw miłości.

Jak okazuje Jezus swą miłość ludziom **błądzącym**? Otóż takich ludzi nie wspiera, nie okazuje im czułości, nie chwali, lecz przeciwnie: stanowczo ich upomina i wzywa do nawrócenia: „Jeśli się nie nawrócicie, marnie zginięcie”. Z tymi, którzy bardzo błędzą, Jezus nie chce nawet rozmawiać. Ich też kocha nieodwołalnie i właśnie dlatego mówi im całą prawdę: zachowują się jak „wieprze”. A z kimś takim nie ma sensu nawet rozmawiać, dopóki ktoś taki się nie zmieni.

A w jaki sposób okazuje Jezus swą miłość ludziom, którzy usiłują Go **skrzywdzić**? Otóż stanowczo broni się przed nimi. Kilka razy nie dał się strącić ze skał, na których były położone miasta, gdzie nauczał i uzdrowiał ludzi. Stanowczo bronił się przed żołnierzem, który Go uderzył. Dopiero wtedy, gdy zakończył swą działalność publiczną, bo nauczył nas mądrze kochać (ale nie wcześniej!), pozwolił się pojąć, przybić do krzyża i zabić – żeby nas upewnić, już całkiem do końca, że On nas kocha i że do takiej właśnie miłości zaprasza każdego z ludzi.

Jak okazuje Jezus swą miłość ludziom **przewrotnym** i cynicznym, czyli – mówiąc językiem Biblii – faryzeuszom i uczonym w Piśmie? Otóż Jezus

demaskuje ich – i to publicznie, nie w cztery oczy. W cztery oczy demaskuje ludzi grzesznych, ale mających dobrą wolę, grzeszących w wyniku swej słabości, a nie przewrotności czy cynizmu. Tymczasem przed cynikami publicznie i otwarcie ostrzega tłumy: strzeżcie się ich, bo to plemię żmijowe, które zasiadło na katedrze Mojżesza. To ślepcy, którzy chcą także was uczynić ślepymi – i wtedy wszyscy wpadniecie w przepaść. Są to zwłaszcza słowa ostrzeżenia dla duchownych wszech czasów.

Demaskując cyników publicznie, Jezus okazuje swą miłość do tłumów – pokazuje, komu nie należy zaufać, za kim nie należy iść, by nie wpaść w przepaść. Kiedy ktoś demaskuje cyników publicznie, choćby w mediach, to czyni to z miłości do słuchaczy, widzów czy czytelników. Demaskuje tych, którzy wmawiają tłumom, że – na przykład – aborcja to nie jest zabicie człowieka, że antykoncepcja nie jest szkodliwa dla kobiety, że pary homoseksualne są tak samo dobre jak małżeństwa, itd. Jezus demaskuje cyników z miłości do nich, a nie po to, by ich definitywnie potępić i przekreślić ich możliwość nawrócenia.

Gdy człowiek cyniczny i przewrotny zobaczy, że znalazł się ktoś, kto potrafi odeprzeć jego »argumenty«, ktoś, kto nie tylko potrafi kochać, ale kto nie jest naiwny lecz przeciwnie – bardziej jeszcze inteligentny niż cynicy – wtedy może się zastanowić i nawrócić. A przynajmniej zamilknie – zdziwiony tym, że ktoś, kto jest dobry i kocha, okazuje się jednocześnie bardziej inteligentny od tych, którzy nie kochają. Jezus taki właśnie był. Demaskował, a nawet ośmieszał cyników. Sam jeden świetnie sobie radził z całą rzeszą ludzi przewrotnych. Byli oni zupełnie bezradni wobec Niego, wobec Jego słów i argumentów. Dawał im do myślenia, gdyż pokazywał, że swoją wiedzę, inteligencję i wykształcenie człowiek może wykorzystać także w *dobrym*

celu, czyli po to, by kochać. Cynikom warto stawiać pytania, które ich zaniepokoją: Dlaczego zastawiasz pułapkę na ludzi szlachetnych? Dlaczego strzelałeś do Jana Pawła II? Dlaczego zabiłeś księdza Jerzego Popiełuszkę? Dlaczego chcesz zabić kolejnych ludzi, którzy kochają? Dlaczego walczysz o to, by rodzice mogli zabijać swoje małe dzieci, albo dlaczego zachęcasz dorosłe już dzieci, by walczyły o „prawo” do zabijania swoich starych czy schorowanych rodziców? Jezus wie, że ludzie cyniczni i bez skrupułów są największym zagrożeniem dla wszystkich innych. I że takich ludzi najtrudniej jest kochać.

Jest jeszcze piąta, ostatnia grupa ludzi, którym Jezus okazuje miłość w sposób dostosowany do ich postaw i zachowań. Chodzi tu o **ludzi wyjątkowo dojrzałych, którzy kochają bardziej niż inni**. W jaki sposób okazuje Jezus miłość takim właśnie ludziom wspomniałym? W jaki sposób okazuje miłość Piotrowi, Janowi czy Pawłowi? Otóż przez to, że ich wyróżnia i że to im zawiera wielką władzę oraz los Kościoła. Również i oni popełniali błędy, a nawet grzeszyli, ale potrafili się nawrócić i kochać bardziej niż inni.

Co więc należy zrobić, aby kochać tak, jak kochał Jezus?

Po pierwsze, należy z radością wspierać ludzi szlachetnych.

Po drugie, należy szczerze upominać błędzących.

Po trzecie, należy stanowczo bronić się przed krzywdzicielami.

Po czwarte, należy publicznie demaskować ludzi przewrotnych i cynicznych, czyli takich, którzy chcą żyć kasztem innych ludzi.

Po piątę, warto zawierać swe życie i swój los wyłącznie tym, którzy potrafią kochać naprawdę i bardziej niż inni.

Jeśli ktoś kocha tak, jak kocha Jezus, to ma odwagę umacniać mocnych. Gdy wśród ludzi w jego

środowisku są tacy, którzy żyją szlachetnie i potrafią kochać, to mówić do nich i o nich z radością i dumą – zarówno w cztery oczy, jak i wobec całej rodziny, w szkole, czy w zakładzie pracy. Jezus chwalił tych, którzy zasługiwali na pochwałę i wsparcie. Ktoś może powie, że chwalenie kogoś wzbudza zazdrość u innych. To świetnie, że tak jest! Niech będą zazdrośni ci, którzy nie kochają i błędzą! Ci, którzy są chwaleni, nic na tym nie tracą, a ci, którzy zazdroszczą chwalonym, może wezmą z nich przykład, zmobilizują się i sami staną się godni pochwały. Jeśli dojrzałe kocham człowieka szlachetnego, to się nim zachwycam i mówię mu o tym wprost. Mam też odwagę opowiadać o nim z radością innym ludziom.

Jeśli kocham człowieka błędzącego, to mam odwagę stanowczo go upominać. I to natychmiast, czyli w obliczu pierwszych, nawet drobnych błędów. Nie czekam, aż stanie się alkoholikiem, narkomanem, erotomanem czy innym „manem” albo egoistą. Nie czekam, aż drastycznie skrzywdzi innych ludzi i stanie się śmiertelnym zagrożeniem dla samego siebie. Napominam go, gdy tylko zauważę, że za mało kocha. Nie czekam, aż zacznie poważnie grzeszyć. Wiem, że nie zawsze zostaną dobrze zrozumiany przez błędzącego. Często będzie on negował swoje słabości i błędy. Trudno. Zrobiłem swoje – to, co mogłem. Jezusa też nie wszyscy upominani przez Niego ludzie rozumieli. Nie wszyscy Go słuchali. Nie wszyscy korzystali z Jego prawdy i stanowczości w upominaniu błędzących.

Jeśli dojrzałe kocham człowieka, który próbuje mnie krzywdzić, to powinienem się przed nim stanowczo bronić. Nawet jeśli jest to ktoś bardzo mi bliski, na przykład mąż, żona, rodzic czy dorastający syn. W obliczu poważnej krzywdy Kościół wprowadza nawet separację małżeńską jako formę skutecznej obrony przed krzywdą. Ludzie

niedojrzali twierdzą, że jeśli się bronię przed krzywdą, to kocham wprowadzić samego siebie, ale nie kocham krzywdziciela. Otóż to nieprawda! Krzywdziciela też wtedy kocham. Okazuję mu tę miłość właśnie w ten sposób, że się przed nim bronię. Im bardziej stanowczo bronię się przed krzywdzicielem, tym bardziej go kocham, gdyż sprawiam, że ma on na sumieniu jedną ofiarę mniej. A wtedy łatwiej jest mu uznać bolesną prawdę o sobie i podjąć wysiłek nawrócenia.

Jeśli kocham człowieka, który jest człowiekiem cynicznym, to powinienem publicznie demaskować zło, które czyni i jego przewrotność. W ten sposób kocham ludzi dobrej woli, którymi on usiłuje manipulować i których usiłuje drastycznie skrzywdzić. Dzięki temu takiemu człowiekowi trudniej jest nadal być krzywdzicielem, a łatwiej jest zastanowić się i zmienić.

Jeśli kocham kogoś, kto jest człowiekiem szlachetnym, uczciwym, kochającym, godnym zaufania, to moją miłość do takiego człowieka okazuję przez to, że zawierzam mu siebie i moich bliskich, nasz los doczesny. Taka najbardziej wyjątkowa forma okazywania miłości odnosi się szczególnie do kwestii wyboru małżonka. Nigdy nie należy wiązać się z kimś, kto nie potrafi kochać. Jeśli ktoś chce, bym okazywał mu miłość przez zaufanie do niego, to musi *najpierw* nauczyć się kochać. Małżeństwo zawiera się nie po to, by ratować kogoś, kto jest w kryzysie i nie radzi sobie z własnym życiem. Od ratowania ludzi w kryzysie są odpowiednie terapie, domy poprawcze, instytucje resocjalizacyjne, ale nie małżeństwo. Małżeństwo winni zawierać wyłącznie ci, którzy potrafią kochać – wiernie, dojrzałe, nieodwołalnie. Nikt z ludzi nie jest ideałem, ale jeśli ktoś ma poważne problemy z samym sobą, to musi poradzić sobie z nimi przed ślubem. Jak może bowiem złożyć przysięgę miłości ktoś,

kto nie umie kochać? Byłaby to kpina – i z Boga, i z ludzi. Warto powtórzyć zasadę, że własny los oraz los swoich bliskich można roztropnie zawierzyć wyłącznie komuś, kto już kocha. Oczywiście zasada ta działa w obie strony: aby zawierzyć swój los oraz los swoich bliskich komuś, kto kocha, trzeba samemu też kochać, gdyż ten, komu ja zawierzam mój los, mnie z kolei zawiera swój los. Miłość małżeńska wymaga tego, by obie strony kochały dojrzałe i wiernie.

Bóg nie tylko każdego z nas kocha, ale też każdego z nas w pełni rozumie. Właśnie dlatego wie, w jaki sposób okazywać nam swoją mądrą, wychowującą miłość. Bóg wspiera ludzi szlachetnych. Błądzących upomina – także poprzez innych ludzi. Krzywdzicielom stwarza szansę na zmianę życia, broniąc i przestrzegając przed nimi ich potencjalne ofiary. Ludzi przewrotnych stanowczo demaskuje, i to publicznie. Czyni to z pomocą ludzi wyjątkowo szlachetnych i mocnych, czyli takich, którzy są sprytniejsi w czynieniu dobra niż ludzie przewrotni sprytni są w czynieniu zła. Człowiek szlachetny i święty to nie Boża gapa. To nie ktoś, z kogo spryciarze tego świata mogliby sobie bezkarnie kpić. Jan Paweł wzruszał ludzi dobrej woli, ale przerażał cyników. Bali się go tak bardzo, że chcieli go zabić. Strzelali do niego. Tak więc człowieka przewrotnego Bóg demaskuje, natomiast szlachetnemu powierza losy Kościoła, losy rodziny czy parafii – w zależności od tego, kto jakie ma powołanie. Zaczynam być chrześcijaninem (zaczynam!) dopiero wtedy, gdy rozumiem, na czym polega miłość – gdy rozumiem to precyzyjnie! Ogólniki typu: „Kochajcie wszystkich jednakowo!”, „Bądźcie dobrzy i życzliwi dla wszystkich!” to tylko slogany, które wprowadzają w błąd. Chronić samego siebie i innych ludzi potrafi jedynie ten, kto siebie i bliźnich kocha w taki sposób, w jaki Chrystus pierwszy nas pokochał, gdyż innej miłości nie ma.